

SPRAWY OTWARTE

WILNO

20
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 14

1—15 WRZESIEŃ 1937 r.

Rok I

P o k o n f i s k a c i e



Dziewczyna i gęsi

Edmund Zdanowski, Wilno

(Odbitka „Przeglądu Fotograficznego”)

P o k o n f i s k a c i e

Wieści z Wołynia...

Należy się cieszyć, że prasa narodowa zainteresowała się bliżej woj. wołyńskiem starając się udostępnić całej Polsce poznanie faktycznego stanu rzeczy.

Głosny «proces wołyński» rozjaśnił w dużej mierze kierunek polityki woj. Józefskiego. Prasa narodowa z «Warszawskim Dziennikiem Narodowym» omawiała już kwestję stosunku władz administracyjnych do wsi wołyńskiej na tle «odpowiedzialności zbiorowej» zastosowanej na chrześcijańskiej ludności we wsi Tutowiczach, za wybicie szyb przez nieznanych sprawców w sklepach żydowskich.

Kiedy przybyłem na miejsce do Tutowicz po owym zarządzeniu chłopcy byli wzburzeni.

— Nie będziemy bronić żydów! — Słychać głos.

— T'eper żniwa, rabotat' nada! — odzywa się głos inny, bardziej kompromisowo. Spracowane dłonie drapią ciemną bezradnie. Wszak nakaz wydała władza!

Wzdłuż drogi rozsiane wiejskie chaty charakterystyczne «stylem» dla Polesia i graniczącej z nim części Wołynia. Zdała widnieją kościołki i cerkiewka. Duża ilość jabłoni, wisieln, słoneczników i kukurydzy dopełnia barwnego wrażenia całości.

Chaty wiejskie, stawiane «bokiem» do ulicy, składają się z dwóch części. Pierwsza mieszkalna, bielona, z małymi okienkami, druga to coś w rodzaju składu na różne narzędzia wozy i sanie, często chlew dla trzody domowej. Wnętrze części mieszkalnej to obraz niespotykany w cywilizowanym państwie XX wieku. Izba bez podłogi duszna i brudna, krzyż lub obraz, stół, ława i odróżający barłóg do spania. Dalej od wjazdu sufitu zwisa, w rodzaju hamaka płótno na dwóch sznurach konopnych, w którym śpi sześciomiesięczne dziecko. Czasem w jednej izbie «mieszka» kilka rodzin i wtedy tych «hamaków» zwisa kilka. Na stole obok okna siedzi dzieciak zamorusany, z olbrzymim brzuchem, obejmując glinianą misę, w której widać mętną wodę i kawałki kartofli. «Baba» (gospodyni) krząta się koło olbrzymiego pieca, w którym piecze kukurdzowe placki. W rozmowie z nad pieca skrzeczy głos starego, brodatego dziada (did).

— Oj ciężko żyć panoczku!

Ten przeszedł życie w tej wiosce.

Zapewne odchodząc nie żałuje życia.

— Byleb' im było dobre! — to jego ostatnie życzenie. Na progu siedzi sześciolatek wyrastający z łyka plecione «łapcie» na nogi. Nowe. Na święto...

Życie chłopów monotonne jest jedną wielką gonitwą za jutrem.

Wstają skoro świt, zasypiają gdy mrok. Światła sztucznego nie znają. Odzienie wyrabiają sami z grubego, wiejskiego płótna. Ich roczne zakupy to trochę soli, wyroby żelazne. Znam wypadek, kiedy do Sarn przysłała wiejska baba z wioski odległej 18 klm. i prosiła w sklepie spożywczym o sos ze śledzi, z beczek zamiast soli. Zgadzała się ten dar odrobić!!!

Są prawie samowystarczalni z konieczności. Rybołówstwo, uprawa roli na rozrzucanych karłowatych gospodarstwach, to ich główne zajęcia.

Na podatki sprzedają trzodę chlewną, drób, jaja i t. p. Poza tym wychodzą na roboty do miasta po 80 gr. dziennie bez utrzymania, z koniem i wozem około 2 zł.

Lud niezmiernie pracowity i biedny. Część zarobionej gotówki chłoną podatki, resztę zabiera żyd, w dużej mierze za machorkę i samogon, lub pośrednicząc w transakcjach podejrzanego charakteru. Nic też dziwnego, że chłopcy wybierają. W wyżej wymienionej wsi pasożytuje 13 rodzin żydowskich.

W pociągach snują się brodate małe chłopskie cienie, jednocześnie jeżdżą z miesięcznymi biletami 2 kl. kupcy drzewni w 100% żydzi, robiąc na wycinaniu lasów chłopskimi rękami kokosowe interesy. To ich monopol. Dla chłopca ciężka praca.

Specjalna opieka rządu, tylko nie w sensie Tutowickiego zarządzenia, zainteresowanie instytucji społecznych, reforma podatków, reforma rolna, nauka i pokazy wzorowego gospodarstwa zapewnienie odpływu do miast, chałupnictwo, usunięcie wyzysku i pośrednictwa żydów, oraz ich niechłujstwa... Te myśli snują się po głowie chałupniczej.

Powiatowe miasteczko Sarny, około 15,000 mieszkańców, leżące na pograniczu

Wołynia i Polesia, jest jednym z największych powiatów w Polsce. Żydzi, jak zresztą wszędzie na kresach wschodnich, czują się tutaj gospodarzami. Na jednym z budynków widnieje mała tabliczka z napisem «Łaźnia miejska», a obok nad wejściem olbrzymi szyld «Łaźnia Gminy Żydowskiej» — to jest motto — szerokich wpływów tutejszego żydostwa, w których trudno znaleźć granicę interesu miasta i gminy żydowskiej. Poza tym jest oczywiście «РАЙОНОВА КООПЕРАТИВА» zgodnie z polityką woj. Józefskiego, założona przez b. starostę. Dziś mało członków liczy, bo wszyscy już wiedzą, że zaopatruje się w towary w miejscowej hurtowni żydowskiej.

Jest też przedstawiciel pułk. Koca. Ludność miasta nic nie wie o jego poczynaniach. Prawdopodobnie skończyło się na

„Z naszego pojęcia życia, poświęconego myśli, nie możemy wyłączyć samotności, niezależności i wolnego czasu... Kartezjusz, opuszczający Paryż dla cichego przedmieścia dalekiej Hagii; Bossuet, ukrywający się w alitacji, położonej w końcu ogrodu; Pasteur lub Edison w swoich niedostępnych laboratoriach; uczeni mnisi w klasztorach; artyści, usiłujący od wieków zakładać kolonie, przeznaczone wyłącznie dla pracy bezinteresownej — wszyscy oni dążą do stworzenia takich warunków życia, jakie musimy uznać za szczególnie pomyślne dla pracy myśli.

Pierwiastek towarzyski, przez nich potępiany, został w ich życiu zredukowany do minimum, pozostając czemś trochę więcej, niż lagodnym akompaniamentem do pracy myśli. Powinniśmy trzymać rękę na pulsie życia, przypadkowe oddanie się przesadnej działalności może być czasem nawet korzystne, lecz stosunki towarzyskie nie powinny zabierać nam więcej czasu, niż pogawędka z nocnym stróżem.

(Dimnet „Sztuka myślenia”).

Władysław Fabjański

Mazgajstwo słowiańskie i krew francuska

(Dokończenie)

Gdy bawiaćemu w Wilnie ministrowi Świątosławskiemu doręczał zarząd W. T. P. N. memoriał w sprawie nowej pisowni, to profesorowie krakowscy i ich przyjaciele stwarzali wokół ministra aurę natury politycznej: gdyby przewodniczącym K. O. był Ignacy Chrzanowski, nie Nitsch to Otrębski z Wileńskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk nie protestowałby przeciw nowej pisowni.

Ależ na miły Bóg, przecież przeciw nowej pisowni protestowali także pisarze pochodzenia żydowskiego, jak Słonimski, Witlin i inni, zdecydowanie, bez przeniewierstwa prof. Kleinera, który przeciw nowej pisowni protestował z historykami literatury polskiej, a potem ją, jako członek K. O., uchwalał.

Na memoriał T. P. N. w Wilnie, wyłuszczający projekt prof. Otrębskiego zwołania Komitetu Ortograficznego, M. W. R. i O. P. nie odpowiada, może rozważa go, a może, żałując dalszych wydatków na słowniki ortograficzne (choćby jeden taki wydał prof. Stan. Szober), zastanawia się nad projektem docenta Stan. Cywińskiego, który radzi zawiesić nową pisownię na 2 lata celem gruntowniejszego upracowania jej, może nie chce podrywać autorytetu Polskiej Akademii Umiejętności, a może wreszcie nie chce zmieniać swego postanowienia w tej sprawie. Każdy Polak cenil P. A. U., jakkolwiek jej patronstwo nad K. O. było niedołążne, wie także, że M. W. R. i O. P. tylko oparło się na uchwałach K. O., prawda, że w swej dalekowzroczności powinno przewidzieć skutki owych uchwał. Każdy miłośnik prawdy przyznaje się do błędów i nikt mu za złe tego nie bierze, bo wszyscy kształcimy się na błędach. Jeśli nie czyni tego, jest niepoprawnie ambitny i uparty. Póki nie wyszły wszystkie nowe podręczniki szkolne, póki nie tknięto dzieł wielkich zmarłych pisarzy, jest czas na solidne załatwienie sprawy pisowni. Z ambicjami reformatorów pisowni nie należy się cackać. Są to uczeni, którym rewolucyjność stała się

nominacją. Zresztą osoba na to stanowisko wymarzona.

Osobnych parę słów należy poświęcić dostawom wojskowym. Wiadoma jest rzecz, że niektóre garnizony otrzymały rozkazy nie powierzać dostaw żydom. W Sarnach wszystkie dostawy są w rękach żydowskich, łącznie z budową nowych koszar. Z tego łatwo wyprowadzić pewne wnioski, nie mówiąc już o elementarnym obowiązku «walki ekonomicznej», którą rzekomo forsują różne koła. Z niecierpliwością oczekiwano należy zmian radykalnych, bo przecież to graniczny powiat.

Dalej idą sensacje.

Sensacją duża była wiadomość, że komendantem P. P. jest syn żyda, talmudysty. Ludność spokojnego miasteczka wierzyć nie chciała, że w granicznym, powia-

towym mieście, o krok od granicy bolszewickiej fakt podobny mógł mieć miejsce. I tu zmiany są konieczne.

Gdzieindziej znów dowiaduje się o sławnym procesie pań ze Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, które oskarżają jedną z obywaterek o kradzież 2 zł. (sic!!!).

Oskarżycielki proces przegrały i oczywiście apelują. A obok rozpaczliwy obraz polskiej wsi... smutna rzeczywistość.

Powracam zamyślony...

Wieść wołyńska czeka na pionierów — narodowców. Dziś jeszcze trudno jest na razie myśleć o zorganizowanym ruchu narodowym w tym terenie.

S. K.

POMÓWMY

Manifestacja Str. Narodowego w Warszawie długo jeszcze będzie źródłem «uwag na marginesie». Warsz. Dziennik Narodowy w artykule z dn. 27. VIII odpowiedział na marginesowe rozważania Merkurjusza Polskiego o «takte» Str. Narodowego, jako zasadniczej sile.

Parę słów poświęcimy tu jeszcze poprzedniemu numerowi tego inteligentnego, ale bardzo jednostronnego pisma rządowej pracy. Chodzi tu mianowicie o specyficzny pogląd na rolę P. P. S. i N. D. przed wojną. Autor merkurjuszowy dochodzi do wniosku, że bardziej «narodową» partją była P. P. S., reprezentująca wówczas dynamikę narodową, podczas gdy N. D. tworzyła raczej myśl państwową. Autorowi artykułu bliższym dzisiejszym grupom «narodoworadykalnym» bardziej podobały się trzaski rewolwerów, niż praca N. D., o której notabene wcale nie wspomina.

Nie kłómy się o zasługi! Tylko to nadawanie tytułu narodowców honoris causa socjalistom jest grubym naciąganiem logicznym. Niewątpliwie w P. P. S. przed wojną byli szczerzy patrioci. Ale patriotyzm nie pokrywa się zupełnie z nacjonalizmem, bo pierwszy jest zjawiskiem uczuciowym, drugi kierunkiem, systemem. Nie

każdy patriota jest nacjonalistą, choć na odwrót każdy szczerzy nacjonalista musi być patriotą.

Rola P. P. S. przed wojną była jedną z ról wyznaczonych tej grupie przez międzynarodówkę, traktującą polskich socjalistów, jako taran dla rozbicia kapitalistycznego kolosu rosyjskiego. Hasła polskie były pewnym ideowym kompromisem, albo też zostały wniesione przez pojedyncze jednostki.

Narodowa Demokracja natomiast ze swego założenia była grupą pracującą jedynie i wyłącznie dla Polski. Praca to była nieraz równie niebezpieczna, równie romantyczna, porywająca, choć spokojniejsza. To są rzeczy niezaprzeczone, które z pewnością Merkurjuszowi są znane, o których jednak lubi zapominać.

Ciekawa polemika toczyła się niedawno między «Dziennikiem Wileńskim» a «Słowem» — p. Bukowski i p. Bocheński.

Używając słowa «polemika» myślimy tu raczej o p. Bukowskim, którego artykuły prócz merytorycznej słuszności (dla nas) posiadały jeszcze i wiele kultury, podczas gdy artykuły «Słowa» obfitowały w różne «steiki frazesów» i t. p. wersalszczyznę, godną szlacheckiej tradycji konserwatystów.

«Sprawy Otwarte» w kwestji tej wypowiedziały się częściowo na łamach jednego ze swych pierwszych numerów przy omawianiu skoku ideologicznego jednej z wileńskich grup, reprezentującej swego czasu federalizm jagielloński.

Grupa zacięta nie udzieliła nam odpowiedzi, nie zabrało też głosu «Słowo» jedynie jego dodatek, redagowany przez paru obiecujących młodzieńców raczył zwrócić uwagę na artykuł «Idea na emeryturze» czyniąc to w tak prostackiej i sztubackiej formie, że nie można było na ten wyczyn «milusińskich» odpowiedzieć.

Cieszymy się jednak, że dyskusja taka została rozpoczęta, że w artykule p. Bukowskiego zostały wypowiedziane słowa charakterystyczne dobre tak sztucznej myśli, jaką reprezentują «mocarstwowcy» — dążenie do Polski potężnej... w znaczeniu mocarstwa — austriacko-węgierskiej, fikcja hegemonii — to rzeczywiście trafne spostrzeżenia!

«Realizacja «doktryny hegemonji Polski na wschodzie» oznacza ustąpienie Polski z dzisiejszych kresów wschodnich na rzecz nowych organizacji państwowych ludów słowiańskich w zamian za ich współpracę z nami, której klasyczny przykład mamy na naszych kresach południowo-wschodnich, dążenie zaś do jej realizacji — (oznacza) utratę dla nas elementów dotychczas narodowo zorientowanych...»

Raz jeszcze podkreślamy, że dyskusja taka była potrzebna, dała obu stronom ważne spostrzeżenia, a co najważniejsze: obyła się bez personalnych wycieczek i wyzysku. Jeszcze trochę dobrej woli, a okaże się, że i pióro może być bronią... rycerską. **St. B.**

naszych wnuków, czy prawników przysypało rumowisko nowych przepisów ortograficznych. Czemu wiecznotrwałymi są pisownie rebublikańskiej Francji i królewskiej Anglii? My młodzi należymy do tego pokolenia Polaków, na które napadło więcej, niż siedem, plag egipskich, i dlatego przed zmarnowaniem milionowych sum ostrzegamy: nie chcemy także za grzechy tatuściów odpowiadać przed swymi synami.

O każdy grosz zmarnowany będziemy walczyć, a z mazgajstwem słowiańskim, ujawniającem się w każdym przejawie życia zbiorowego i indywidualnego Polaków, musimy rozprawić się z żelazną energją i konsekwencją nordycką. **Wł. Fabjański.**

Wiktor Trościanko

W O J T U S

Pociąg przecina wschodnią część Polski z Północy na południe. Obserwuję towarzyszy podróży. Małżeństwo, pan z sygnetem, obok jakiś siwy, gołąbkowo wyglądający sąsiad. Rozmowny. Już nawiązał dyskurs z panem w sygnecie, zdaje się dyskutują o małżeństwie. Znaczenie, dobry wpływ...

Wyciągam «Prosto z Mostu». Gołąbkowy sąsiad zerka, aha interesuje się! Potem wydostaje z walizki książkę Wallac'a, którą kupiłem na dworcu, chcąc pierwszy raz w życiu zaznajomić się z literaturą kryminalną—podobno pobudza fantazję, wzmacnia aktywność. Z okładki spojrział na mnie jakiś przedstawiciel władzy i tytuł: Romantyczny policjant. Pan z sygnetem zerka i rozczarowany. No i pozicję hm, hm, co ta dzisiejsza młodzież warta! Wallac'a, panie, czyta, myśli pan z sygnetem, a ja wcale czytać nie mogę, bo mnie to śmieszy. Zresztą w dziesięciu kartach nie znalazłem ani jednego zdania z sensem. Czy w tak mądrym kraju jak Anglja są tak głupi wydawcy, czy też liczą na głupotę kontynentu? Bo przecież to stek idjotyzmów! Żadnego wątku akcji, żadnych spozstrzeżeń—polszczyzna przekładu...

Odkładam romantycznego policjanta i wychodzę na korytarz. W oknie wystawa obrazu «prowincja» tą, której się unika, albo, ta którą się obdziera.

A tutaj tak ładnie pachną dojrzewające zboża, drogi wiadomo gdzie idą, nie krzyżują się tak często, jak w mieście, nie uciekają gmatwaną ulic.

Kolega mój jest nauczycielem gimnazjum w jednym z takich «okien deskami zabitych». No i jak?—Doskonałe! Mogę spokojnie pracować, dzień jest jakiś dłuższy, ale prawdziwszy—dzień bez frazesu.

Kres urlopowym rozważaniom położyła mglista noc. Trzeba było wrócić do przedziału. Wracam. Białowłose pan jest w połowie zdania... ale najwięcej hałasu, zdaje się, narobiła moja broszura.

— ?
O prezydencie Warszawy.
Aha—tu leży pies pogrzebion. Ze skwapliwością podtrzymuję rozpoczętą przez sąsiada rozmowę, skierowaną do mnie.

— Pan prawnik?
Owszem. «Na emeryturze». Skończyłem już dawno i t. d.

I zaczęła się rozmowa o rzeczach mało-ważnych, potem więcej ważnych, potem najważniejszych.

Trudno jest mówić z człowiekiem, który dużą część życia poświęcił na gromadzenie argumentów do tezy może zbyt prędko postawionej. Zaspie dowodami, faktami, książkami...

Mimo to podróżuje się wytworniej w takim towarzystwie i żal krótki ogarnia, gdy na najbliższej stacji wysiada jeden z «naszych współczesnych».

— Ależ ten pan nie tu wysiadł, przejechał już swą stację mówi ktoś w przedziale, tak ten pan przejechał już swą stację... Może jednak ktoś w przedziale się mylił, może on właśnie tam jechał, lecz z dobrodusznym uśmiechem wprowadził w błąd towarzyszy podróży. (Aha! Mieście trochę sensacji, mieście zagadkę. Kto mi udowodni, że nie tu miałem wysiąść? Argumenty mam. I zacznie...)

Potem było kilka godzin dżungli polskiej. Nad Horyniem rozbiegły się mgły poranne, słońce zgarnęło wilgoć nocy. Za torem rósł las chmielu wołyńskiego, za chmielem bieleły się chaty—«ridnie chaty».

Potem wyrósł nad Lwowem zamek, a na Podzamczu pejzaz żydy.

Na dziedzińcu kościoła ormiańskiego młody literat lwowski recytował pieśni «Rybaltów», wzrok błędził od jednego okna do drugiego. Tutaj renesans, tam coś bizantyjskiego. Taka jest ta Polska wachodnia i Lwów ciekawy, jak przekrój dwóch cywilizacji—łacińskiej i bizantyjskiej. Na kopcu Unji łapałem robaczkę świętojańskie rękami i wzrokiem—pod górą migąła lwowska noc otworami świąteł, Lyczaków, Kulparków i to wszystko, co jest drogą memu lwowskiemu koledze z kół «szczepciowych». W taksówce nie można mówić o Ukraincach, bo często szofer jest Ukraincem; dużo ich tutaj. Wożą Lachów po mieście, chętniej zawieźliby «za San».

Dawna koleżanka jeszcze z lat szkolnych mówi:

— A jak tam w Wilnie?

— A no nic...

Bo co mówisz? Że od tego czasu wyszło kilka książek, że pisma się kładą, że tradycja, babuleńki, Kolumna Literacka, urbanistyka... To trzeba było mówić. Albo jeszcze więcej, ale o tym kiedyindziej i w Wilnie.

— Trzeba znów tam wrócić, proszę pani, obejść wszystko naokoło, a zobaczy pani, że coś nowego powstaje, coś się budzi.

Narazie jednak podróżuję dalej—na południe przez złote Podole, Kołomyje, do Zaleszczyk.

Rząd białych postaci schyla się po trud człowieka i ziemi—żnie piękne, bujne, podolskie żyto. Z pod szerokich rond słomianych kapeluszy patrzą oczy jasne, lub piwne; chwila ta jest okazją do wyprostowania pleców i znów dalej krok za krokiem, garsć za garscią biorą ludzie chleb.

Poznaję Wojtusia.

Wojtuś ma trzy lata, puciołowatą twarz i zadarty nosek. Wtedy, gdy tatuś nie widzi ciąga mamusię za ucho i co chwila pędzi do okna, bo przecież tyle cudownych i olbrzymich rzeczy wabi wzrok trzyletniego brzdąca. Olbrzymie wagony, lokomotywa, budynek stacyjny.

Biorę Wojtusia na ręce. Myślę sobie—mój mały—i tłumaczę: to jest studnia z żorawiem, to pociąg, którym przewożą tylko rzeczy, to anteny, takie druty od radia...

— A to? wskazuje ręką Wojtuś.
— No, przecież widzisz—krzyż.

A dlaczego krzyż stoi w życiu, a nie przy drodze? krzyż—w życiu!

— Bo tu pewnie kiedyś była droga. A może i w życiu postawili.

Żeby lepiej rosło?
— Tak, żeby lepiej rosło.

Wojtuś kiwa sennie głową, pochyla się i zasypia; oddaję go ojcu. A szkoda! Tłumaczyłbym mu jeszcze długo, bo ma takie miękkie ręce i tak wszystkiemu wierzy.

Brzdąc jechał do Kosowa. Wysiadł z rodzicami w Kołomyi. Pan i pani uprzejmie się pożegnali, Wojtuś zapomniał, zobaczył góry—znów coś olbrzymiego—więc zapomniał. A ja czekałem przy oknie może się jednak obejrzy?

Stalowe góry zabrały moją najładniejszą przygodę w podróży—Wojtusia.

Pociąg wystukuje na szynach kołomyjki, skręca na prawo i lewo, defiluje wyprostowany przed żniwiarzami, wreszcie w pewnym punkcie mija mały słup z dwoma znakami, to znaczy wjeżdża z Polski do Rumunii.

(Do Zaleszczyk jedzie się trzy kwadranse przez terytorium rumuńskie).

Na stacji Stefaniszczy wychodzi zawia-dowca we wspaniałej czapce; gdyby nie jej amarantowy kolor, przedstawiciel C. F. R. (kolei) mógłby z powodzeniem odbierać rewję floty jako admirał.

Znowu Polska—od połowy zaleszczyckiego mostu. Głęboko bieleją Zaleszczyki, plaża, budynki. Horyzont zamyka półkolisty jar.

Dni wypoczynku mijają mierzone godzinami śniadania, obiadu i kolacji. Nie mogę daleko chodzić, więc idę tylko na spacer brzegiem Dniestru, do źródła z figurą Panny Maryi.

Spacer taki uspakaja nerwy, niepokojem nachalnym jazgotem starozakonnych, stanowiących tu, jak zresztą w każdym uzdrowisku, większość świadomaswej przewagi—pieniędzy. W «polskim Meranie» — «marani» mówią czysto po polsku z nutą sarmacką.

Gruby mały bachor, spodkobierca upierścienionego taty drze się na całą plażę, tak, że nawet matka, również mała i pękata raczej na to zwrócić uwagę. Delikatnie, ale stanowczo: «Felek — psiakrew, ja ci mówię cicho!».

Nachalny Felek przypomina memu koledze jego towarzysza podróży—kupca drzewnego z haczykowatym nosem. Zagaduje o tem, o owem, pada nazwisko jedno drugie. Kupiec potakuje: znam, znam. Mój kolega mówiąc o drzewie wspomina nazwisko Łopacińskiego.

— Staś? Znam — a jakże kiwa z zadowoleniem głowa macher od drzewa.

Dlatego lepiej jest uciec do wody, na kajak i płynąć środkiem nurtu—przed miej-

scem, gdzie kończy się Polska, a zaczyna Rumunia.

Życie w Zaleszczykach poza hałasem plażowym jest spokojne. Raz cprawda nauczyciel zaleszczycki bił na ulicy swą starszą koleżankę w obecności jej dziecka. Bił pięścią po głowie, gdzie popadło, dziecko płakało, (matka nie), po ulicy snuli się elegancy, kulturalni kuracjusze...

Skalista czerwień stolicy Grodów Czerwieńskich (Czerwonogrodu) otacza wspaniałym łukiem pałac będący od lat przeszło stu w posiadaniu niesławnego rodu Ponińskich. W kościele czerwonogrodzkim tkwią kule z czasów wojny, tu był front austriacko - rosyjski, kościół był dobrym celem...

Moja droga powrotna z Zaleszczyk idzie przez lubelskie, Sandomierz, Warszawę do Augustowa. Jeszcze trzy tygodnie wody, słońca, lasów. Trzy tygodnie granatowego nieba w nocy, gwiazd tonących w jeziorach o starych słowiańskich nazwiskach: Necko, Sajno, Rozpada.

W służbach zbudowanych przez polskich inżynierów, oficerów Królestwa Kongresowego woda przenosi tratwy z drzewem pływającym od lasów północnej Polski do miejsca przeznaczania: Gdańska.

Powoli, pracowicie suną tratwy po kanale. Trzeba się przyjrzeć śladom, które na brzegu zostawia poganiacz konia idący wolno — przez Polskę do Morza. Te ślady, to najwłaściwszy drogowoskaz.

Trzy tygodnie są długie gdy się je zaczyna. Zapomina się o kalendarzu, czasie, o tym, że się jest «mikroskopijna gwiazdą, spadającą za tajemniczy widnokrąg.

Wiktor Trościanko

ECHA RADIOWE

Wieczorynka dożynkowa w opracowaniu i wykonaniu «autochtonów» ze wsi Kowalczyki—była nowym sukcesem radiowym Rozgłośni Wileńskiej.

Mikrofon okazał się «szczęśliwym piratem», wyłapującym najbardziej zasadniczą cechę audycji, mianowicie element t. zw. autentyzmu. Był to autentyzm niesfałszowany, «nie przeinteligentniony», nie wysublimowany tylko prawdziwy, polatujący egzotykę folklor Wileńszczyzny.

Nieuczzone głosy, nieraz chrapliwe i bynajmniej nie radiofoniczne, chwyciły swoją bezpośredniością, swoją codzienną «drewnianą» interpretacją. Audycja niedzielna to jeszcze jeden dowód przemawiający za odrębnością Radia, za jego innym obliczem, bynajmniej nie teatralnym.

Najbardziej starannie wyreżyserowana audycja, pieczołowicie wypielegnowane kultura słowa, precyzja dykcji — nie dadzą jeszcze teatru, nawet jego surogatu. I dlatego w odróżnieniu do audycji dożynkowej wileńskiej niekorzystnie odbijał—Powszechny Teatr Wyobraźni—słuchowisko «Pierwsza lepsza» — według Al. Fredry, nadane przez Rozgłośnię Warszawską.

Umyslnie zestawiliśmy te dwa krańcowo przeciwne sobie «osiągnięcia» radiowe (różniące się i tematyką i rodzajem i celem), ażeby wysnuć jeden zasadniczy postulat o specyficzności Radia, jego autonomicznej pozycji.

W słuchowisku «Pierwsza lepsza» w którym wzięli udział najlepsi aktorzy warszawscy, uderzała niemile «odzywka» sceny, i nieradiofoniczność natrętnych wierszy fredrowskich.

Jednopłaszczyznowość dialogów, monotonią i chudą plastyką, mogła zniecierpliwic najpilniejszego słuchacza.

Był to wynik błędureżyserskiego ustawicznej gonitwy za teatrem, «żyłowania» «rudymetów» sceny i zgola nie radiowego przepracowania tematu.

Na zakończenie recenzji — nie można powstrzymać się od pytania: Dlaczego ten Czachowski w omawianiu nowości literackich tak niemilosierdzie panegiryzuje?

COSBY

Księgarnia Kazimierza Rutskiego

Wilno ul. Wileńska 38, tel. 9-41

polecą: podręczniki szkolne dla szkół akademickich, licealnych, gimnazjów i powszechnych oraz książki ze wszystkich dziedzin.

Ekspediuje materiały piśmienne i pomoce naukowe.

W SIEDZIBIE AKADEMII SMORGOŃSKIEJ

Prześliczny, rzeźwy, rozświetlony poranek sierpniowy. Dzień targowy w Smorgoniach. Samochód sunie powoli leśnymi drogami. Istnieje wprawdzie szosa, ale właśnie władze postanowiły naprawić jej niezaczepiony odcinek i oczywiście te sto metrów drogi reperuje się już od trzech miesięcy, bo przecie potulni obywatele nie osmielią się zaczepić «państwowo-twórczego» kierownictwa «naprawy» szosy. Las drga życiem i radością. Nic dziwnego. Urzędnicy lasów państwowych wola gościć wybitnych masonów, niż uprzykrzać sobie czas programami dewastacyjnych wyrębów. Niekiedy miga przerwa międzyleśna, upiękaszona pierwszymi kopami zboża.

Wehikul nasz wjeżdża na szosę dopiero parę kilometrów przed Smorgoniami. Najzupełniej dowolnie, jak komu wygodniej — suną furmanki chłopskie. Sygnałów żadnych woźnice zasadniczo nie respektują. Dopiero gdy przerażone widokiem, tak rzadkiego w «zmotoryzowanej» Polsce samochodu, śpiące szkapiny zaczynają się «nieco» denerwować następuje reakcja w postaci gwałtownego skrętu właśnie... pod nadjeżdżającą samochód. Policji, któraby przestrzegała porządku nie widać. Rzecz zupełnie zrozumiała, bo wszak na szosie nie ma studentów.

Smorgonie — typowe miasteczko tutejsze. Jedną główną ulicą w początku której stoi piękny kościół. Naprzeciwko jakby dla kontrastu sklep żydowski. Wogóle na każdym niemal kroku «piękne» nazwiska, jak Lewin, Miandler, Bunimowicz etc. Pomiedzy

nimi ledwie widoczna polska apteka, niedawno powstała polska jatka i parę jeszcze sklepów należących do wyznawców Kościoła «z którym Naród Polski związał się u progu swego życia cywilizacyjnego». Z radością jednak należy podnieść fakt, że i tu coraz mocniej zaczyna kiełkować świadomość hasła «swój do swego». Ale tylko kiełkować. Na znajdującym się mniej więcej w centrum miasteczka rynku, który jednym bokiem dotyka stylowej cerkwi stoją wozy wieśniacze; głównymi nabywcami są żydzi, którzy ofiarują ceny niezwykle niskie, ale bezczelnym i natarczywym hergotem zawsze przekonają zlekka otumanionego «wielkomięskim» gwarem kmiotka. W rogu rynku, gdzie można nabyć «spodnie, bluski i inny deilkates» (jak głosi jedna z zachęcających wywieszek) stoją stragany w przeważnej mierze żydowskie. Ale już są i polskie.

Po przeciwległym do rynku chodniku maszerują tam i spowrotem młodociani przedstawiciele «elity» miasteczka i pobliskich majątków. Każdy zna wszystkich, więc ciągle słychać okrzyki powitalne. Znacznie rzadziej słychać słowa pożegnania, bo to przecie jeszcze dopiero południe, a więc moment największego ożywienia. Za 3—4 godziny zacznie jednak zamierać to «pieniące się» życie. pozostaną drzemiące konie żydowskich, obszarpanych dorożek. Do przyszłej środy!

Józef Gil.

ŚWIAT ZA SZYBĄ...

(sugestie — ozdoby nasze)

Skompromitowany do «nitki» — Antoni Słonimski (sławny blamaż w Paryżu!) nie daje za wygraną! «Doskonały» autor znakomitych szmoncesów scenicznych żali się na złość ludzką. (Wiad. Liter. Nr. 35) «Jakiś nieudany malarz i grafoman, jakiś mistyk pokryty łupieżem, jakiś stale wyrzucany za drzwi natrętny karjerowicz wężą, gdzieby kogoś obrzucić błotkiem, jakby opluć kogoś, kto w danej chwili najwygodniejszy jest do zwalczania. Szczególnie drażnią tych impotentów wszelkie żywe pozycje literackie, każda praca pozytywna, każdy rzetelny wysiłek artystyczny.

Niewątpliwie. Występ p. Słonimskiego w Paryżu był «rzetelnym wysiłkiem artystycznym». A cała napaść na delegację polską w Paryżu i osławiony Pen-Club według słów żydowskiego pisarza tak wygląda:

„Świeżo kuchty warszawskie, które zbujały jakiś pątek z suteryny, (sic!) strasznie napytlowały na P.E.N.-Club. Ze tam proszę pani same Żydy i Masony, że za oficjalnego delegata pojechał, a nic nie odpowiedział, jak na nasze Polskę napadali...”

Zręczność i kultura polemiczna Słonimskiego zadziwiająca. Rację ma Irzykowski, stwierdzając, że u pisarzy żydowskich w chwilach decydujących i dla dramatycznych zawsze wylezie charakterystyczna cecha, którą nazwałby można było: «żydowszczyzną»!

Alfred Łaszowski daje raz po raz ciągi najkrzykliwszemu z pisarzy żydowskich w Polsce — Antoniemu Słonimskiemu. Trudno jednak nie zgodzić się z Łaszowskim, z jego charakterystyką «zuchwałego Antosia»:

«Słonimski czuje, że się kończy. Spotykają go same porażki, klapy i kompromitacje. Nikt nie chce grać «Murzyna Warszawskiego» zagranicą. A w kraju popularność spada. Czytelnicy «Wiadomości» dali mu dziewiątkę. Będzie jeszcze gorzej. Bo Słonimski pisze jedno i to samo. Przypomina płytę gramofonową. Jest wyjąłkowy. Musiał kiedyś przejść sterylizację ośrodków intelektualnych. To są skutki nieuctwa. Ale nawet skończony nieuk może mieć wrodzone poczucie taktu i przyzwoitości. Tymczasem Słonimski, który za brednie, odczytane na kongresie paryskim, dostał mocno po łapach od swoich i obcych kryje się teraz za plecy Nałkowskiej i krzy-

czy: Nie bijcie mnie, ona też była, niech trochę pocierpi.

Zaiste wspaniały okaz dżentelmena...»

(„Prosto z Mostu” Nr. 39).

Wyjście Legionu Młodych z Ozonu, tak samo zresztą jak i akces tej organizacji, zasadniczego znaczenia dla obozu Koca nie posiada. Bo nawet «wróble na dachu» wiedzą, że Legion Młodych — to żadna siła a tylko twórczość afiszowa, wypełniona protestem. Legion Młodych, mimo, że nie reprezentuje żadnej siły, nie przestał jednak być symbolem fatalnej tradycji karierowiczostwa, służalstwa i bezdusznej frazeologii. I dlatego sędzić można, że P. P. S. do którego Legion Młodych przeszedł przy werblu bębnow i łencocie sztandarów — przyjął go raczej z zażenowaniem i nieswojo...

Nie rozumiem wyrażenia czysto polskiego «Anglik z Kołomyi» — mówiła księżna Kentu — chyba «Anglik z Łańcuta»?

Sława i szczęście są motorami ludzkiej działalności. Sława Sergiusza Piaseckiego — autora «Kochanka wielkiej niedźwiedzicy» — nie daje dziś spać wszystkim... więziom polskim.

Podobno władze więzienne w całej Polsce są obecnie zawałone najgrubszymi zapisowanymi foliarami, dziełami więźniów. Nie można zresztą zbytnio temu się dziwić, każdy walczy o swoje prawo do życia. Gorzej, że są to sprawy beznadziejne, bo na całym tym masowym pędzie do pióra, najwięcej zarobią wytwórnie atramentu i papieru.

W «Prosto z Mostu» — w numerze 39 — znajdujemy:

...Niedzielny pochód jasnych koszul przez ulice Warszawy (15 sierpnia — dopisek nasz) był zjawiskiem radosnym. Zamiast czerwonych sztandarów — miecze Chrobrego. Zamiast transparentów «Niech żyje Madryt» — transparenty — «Niech żyje Wielka Polska».

Trzeba mieć bardzo ciasny łeb, żeby w dokonanym w ten sposób wyłomie w praktyce «pochodowej» stolicy, widzieć tylko «partyjny obchód».

Nie liczyliśmy tak dokładnie uczestników pochodu, jak ów przedstawiciel Agencji Agrarnej, który ich zanotował 12.238. Ale przed tygodniem obserwowaliśmy przemarsz strzelców, przybyłych na koncentrację z całej Polski. Było ich nie więcej, niż tych zorganizowanych członków S. N. z okręgu warszawskiego, którzy z pewnością nie dostali ani zniżkowych, ani bezpłatnych biletów kolejowych...

Marconi, znakomity uczony i genialny realizator

Bez najmniejszej chęci umniejszenia zasług zmarłego wielkiego uczonego włoskiego, powiedzmy sobie, że prasa całego świata *nieco przesadziła*, nazywając Marconiego «Ojcem Radia».

Telegrafia bez drutu — w rzeczywistości jest córką wielu uczonych, którzy też mogli mieć uzasadnione pretensje.

Faraday, Maxwell, Hertz, Tesla, Popoff, Branly, Morse i wielu innych; każdy z nich dołożył swoją cegiełkę do teorii nad rozchodzeniem się fal elektromagnetycznych.

Nie umniejszajmy zasług, położonych przez prekursorów nauki o radioelektryczności, których doświadczenie i prace kompletują się nawzajem.

Marconi w zupełności zasługuje na to abyśmy go umieścili w tej grupie pionierów, których nazwiska będą związane najbardziej użytecznym, z najpiękniejszym odkryciem naszego wieku, które ratowało i ratuje niezliczone życia ludzkie.

Wynalezienia telegrafu bez drutu było najważniejszym wydarzeniem dla statków na morzu. Statki mające na pokładzie bagaż ludzki, narażone były na nie-

bezpieczeństwo, co gorsze nie mogły się porozumieć ze światem lub prosić ewentualnie o pomoc. Zdarzały się wypadki, że statek znajdując się w pobliżu lądu lub innych statków i mimo to skazany był na zagładę. Wynalezienie Radia dawało szybkie i bezpośrednie połączenie ze źródłem pomocy.

Życie Guglielmo Marconi'ego było prosto całym szeregiem odkryć, które potrafił nie tylko użyć, ale i je skomercjalizować.

Trzeba wiedzieć, że Marconi w przeciwieństwie do innych uczonych, którzy zawsze zapominali o korzyściach, płynących z ich wynalazków, był wielkim realizatorem — człowiekiem interesu.

Każde z jego odkryć było szybko opatentowane i natychmiast eksploatowane.

Na kilka dni przed śmiercią Marconi został mianowany przez papieża członkiem Akademii pontyfikalnej.

Marconi w porównaniu z innymi uczonymi był bardzo popularnym za życia i najmniejszy jego gest był już sygnalizowany przez prasę całego świata.

Sława, zaszczyty i fortuna — oceniana na 500 milionów lirów — ukoronowały dzieło tego wielkiego realizatora, którego śmierć okryła żałobą Italię i cały świat naukowy.

C. H.

Popierajcie Polską Macierz Szkolną

SKŁAD PAPIERU i MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH

Specjalne działy:

MALARSKO-KREŚLARSKI, RAM, OBRAZOW i ZABAWEK.
PAPIERY TECHNICZNE — WIECZNE PIÓRA

Władysław Borkowski

Wilno, Ad. Mickiewicza 5. Telefon 372.

Pp. Inżynierom, Mierniczym i Technikom, na roboty sezonowe polecam: Kalki, Szkiełki, Papiery światłoczułe.

W TEN SPOSÓB DEZYNFEKUJEMY KSIĄZKI UŻYWANE

KSIEGARNIA S. WOJCIECHA
WILNO ul. DOMINIKAŃSKA 4

Na rok szkolny

Uwaga!

Bruliony, zeszyty, teczki, tornistry i inne materiały szkolne. Najtaniej można kupić w firmie

M. RODZIEWICZ

Wilno, ul. Wielka 9, tel. 6-25.

ZAKŁAD KRAWIECKI

Zygmunt Sakowicz

były majster firm petersburskich
przyjmuje obstalunki w zakresie
krawiectwa wchodzące

Ceny bardzo niskie

Wilno, Jagiellońska 6 m. 19.

Marne święta bez Krupnika!

KRUPNIK BEZ GOTOWANIA
I FILTROWANIA

sporządzisz przy pomocy zaprawy
ziołowo - korzennej. Flakon 1 zł.
wystarcza na 1 — 3 litry wódki.

POLECA SKŁAD APTECZNY

Władysława Trubiłły

LUDWISARSKA 12 (róg Tatarskiej)

Tamże wody kolońskie na wagę.
78 przecudnych zapachów.

WPRZÓD DO NAS
potem DO SZKOŁY

gdyż musisz kupić
wszystko co ci będzie
potrzebne:

Mundurki i palta we wszystkich wielkościach	
fartuszki alpagowe Nr. 1	od zł. 2.—
fartuszki satynowe Nr. 1	„ „ 3.75
wełny mundurkowe	metr „ 4.20
szewiort półwełniany	metr „ 2.20
alpaga szer. 140 cm	metr „ 4.90
popelina biała na bluzki	metr „ 1.60
berety granatowe	„ „ 0.95
chusteczki białe z mierzka 6 szt.	„ „ 1.20
pantofle gimnastyczne	„ „ 1.30
koszulki gimnastyczne	„ „ 1.20
teczki brezentowe	„ „ 2.25
teczki skórzane	„ „ 5.—
ornistry brezentowe	„ „ 1.50
piórnik zakopiański	„ „ 1.10
zeszyty, ołówki, pióra i wszystkie przybory szkolne.	

Łóżka, pościel i bieliznę pościelową dla młodzieży szkolnej w dużym wyborze posiadają

bracia JABŁKOWSCY
magazyn zadowolonych klientów

Ceny ogłoszeń: Za 45 milimetrów 1-no szpaltowych na ostatniej stronie 7 zł. W tekście o 50% drożej. Prenumerata roczna 4 zł., półroczna 2 zł., kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Jagiellońska 6 m. 19.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki od godz. 18 do 20.